



FRANCISZEK MIRANDOLA

Zatruta studnia



wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Zatruta studnia

Łan niezmierny leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijali się żénice.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał¹ zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapagną.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnymi ramionymi² pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują, jak trzeba, i chłodzili czoła na powiewie wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron widać dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznane, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożądały napoju.

I tym dawał wedle przykazu.

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami³.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chciały.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żénicom.

Byli tam młodzi chłopcy, chylący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach roześmiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojrzenia szukały raz po raz mogli, kędyś w łanie życia skrytych.

Byli tam kapłani głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonymi głowami, darząc pracowników błogosławieństwem niebiosów⁴.

Nie brakło też kramarzy z pudłami pełnymi tandety i wrzaskliwych skoczków zachęcających do wesołości.

Wróciwszy sponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

— Gdzie teraz polecimy?

— Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokregu.

Polecały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata.

Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przy tym wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innymi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami.

— Czemu zostałeś tutaj? — spytał, spostrzegłszy ją nagle.

— Chcę się udać gdzie indziej! — odpowiedziała.

¹spozierać (gw.) — patrzeć. [przypis edytorski]

²ramiony — daw. forma N.lm; dziś: ramionami. [przypis edytorski]

³zbytek — tu: zabawa. [przypis edytorski]

⁴niebiosów — dziś popr.: niebios. [przypis edytorski]

— A dokądże się to chcesz udać?
— Chcę zejść w głąb studni.
— Po co?
— Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek.
— Więc idź!
— Nie mogę tam zejść gołębiem. Przyzwól mi przemienić się w małą rybkę albo pajęczka wodnego, albo kreta, lub inne jakie stworzenie, tak bym mogła zaspokoić me pragnienie.
— Dobrze! — odparł — daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz, co widziała.
Znikła, plusnąwszy we wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokregu.
Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę.
Nieznajomy był biało odziany i połyskiwał na tle zieleni jak obłok srebrzystego oparu.
Ale obowiązek nie pozwolił Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszali się ludzie, których musiał napoić.
Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym przychyłał wiadra, wydali mu się teraz mniej piękni, mniej godni. Dostrzegał brud ich rąk i twarzy, rzucały mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział szal cielesny, w drżeniu rąk skutek nałogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślne ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesień... świat mu cały zbrzydł i szerniał w oczach.
Pragnął, by nastąpiła chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym.
Gdy napoił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysłoniwszy oczy ręką, zapuścił spojrzenie w dal.
— Bądź pozdrowiony!
Głos jakiś rozebrzmiał tuż obok.
Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni. Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnymi ramionami linę i wyciągnął świeżej wody.
Pochylił wiadro ku jego ustom.
Nieznajomy uczynił gest odmowny.
— Nie piję tej wody — powiedział.
Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tym bardziej rosło jego zdumienie.
Szata nieznajomego biała była i połyskiwała jak srebro, mimo dalekiej wędrówki czysta, niepokalana. Spadała z jego ramion w precyzyjnych fałdach, niepodobna zgoła do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu lub błota, iż wydawało się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.
Kapelusz złożył na trawie.
Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorach na ramiona.
A twarz sama...
Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgoła nieznana, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...
— Znasz mnie? — spytał nieznajomy.
— Nie wiem... coś sobie przypominam.. — odparł z wahaniem. Potem dodał: — Wyglądasz, panie, jak ktoś znany mi...
— My wszyscy mamy podobne rysy... wszyscy...
— Któż to wy jesteście? — spytał.
— My wszyscy, niepijący tej wody! — odpowiedział przybysz.
W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających.
Człowiek z wiadrem spojrział w górę i zobaczył stadko gołębi.

Były to jego myśli, które wróciły z drogi.
Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłośnie.
Brał je łaskawie po kolei i przyciskał do piersi.
Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.
Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędy na całym świecie pracowali ludzie. Ścinali lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalin użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wyteżali myśl nad sprawami świata, albo znów dumali o tym, żali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początku i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba poczciwie i zgodnie z wolą bożą.

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.

Gdy to mówiły gołębie, zjawili się u studni ludzie, pić żądający.
Człowiek z wiadrem wstawał niechętnie i napił ich, a oni odeszli.

Ale zbrakło wody dla ostatniego.

Człowiek z wiadrem musiał znowu napracować się niemało, nim naciągnął wody.

Gdy wiadro stanęło na cembrowinie, nagle plusnęło coś i wyskoczyła na trawę małeńka, złocista rybka.

Poderwała się raz jeszcze w górę i przemieniła nagle w skrzydlatego gołębia, który usiadł na cembrowinie studni.

Gołąb był zadyszany i drżał ze zmęczenia czy strachu.

— Opowiadaj! — ozwał się nieznajomy. Człowiek z wiadrem pochylił się ku niemu i szepnął:

— Panie... może lepiej będzie poczekać, aż ten oto nasyci się i odejdzie.

— On nie zrozumie... — odparł nieznajomy. — On nawet nie widzi mnie, ni tego gołębia, ani słów, jakie zamieniamy, nie pochwyli. Nie znasz, widzę, ludzi...

— O panie! — zaczął gołąb. — Przybierałem różne postaci i dotarłem wszędy⁵, gdzie dotrzeć może myśl człowieka. Posuwałem się pod bieg⁶ wody, zaglądając wszędy, skąd się sączy choćby jedna kropla. Przy samej studni toruje sobie drogę źródło przez wielki, stary grobowiec, oplukując kości poległych w jakichś dawnych zapasach, powyżej⁷ jest złożone zbioro zardzewiałych, kopii i mieczów starożytnych. Widziałem, jak krew ludzka mięsza⁸ się z wodą, jak w nią wsiąkają ostatnie westchnienia konających, ich kłątwy i ból. Płynię przez zacisnięte pięści i zakamieniałe serce, oplukuje czarne zgliszcza popalonych wsi i miast, napawa się słonymi łzami sierot i wdów. Przez całą drogę nie spotkałem najmniejszej przestrzeni, gdzie by źródło płynęło przez nietknięte niedolą ludzką pokłady. Czy starsze, czy młodsze mijałem warstwy, wszędy widziałem, jak woda zabiera i unosi z sobą ślady bólu i grzechu, jak się pełni⁹ trucizną okropną, trupim zakaża się jadem.

Granitowych chyba starych skał dawnych epok sięgnąć by musiało źródło, by dotrzeć do czystych, nieskażonych miejsc, pozostałych z czasów, kiedy nie było człowieka na ziemi.

Ale stamtąd nie biją źródła.

Nieprawdą jest, że woda czyści się, ciekąc przez ziemię. Krystaliczność jej to pozór tylko. Żadna nauka nie wykryje składników, jakie zawiera. Czyż można to zbadać?

O, zaprawdę teraz wiem dobrze, że ludzie stąpają po zmarłych, karmią się ich ciałem i piją ich ból i ich grzech.

I dlatego są, czym są.

Gołąb zamilkł, a Człowiek z wiadrem obrócił wzrok na nieznajomego.

Siedział zamyślony.

Nagle stuknęło coś.

Obejrzeni się obaj.

Spragniony objął ciężkie naczynie i przyłożył usta do jego brzegu.

⁵wszędy — wszędzie. [przypis edytorski]

⁶pod bieg — pod prąd. [przypis edytorski]

⁷powyżej — dziś popr.: powyżej. [przypis edytorski]

⁸mięszać (daw.) — dziś popr.: mieszać. [przypis edytorski]

⁹pełnić się — napełniać się. [przypis edytorski]

Człowiek z wiadrem rzucił się ku niemu, chcąc mu wzbronić napoju.
— Niech pije... niech pije! — powiedział nieznajomy i dodał: — Czyn, co ci zostało przykazane.
— Jakoż to będę mógł teraz czynić, o panie? — jęknął boleśnie Człowiek z wiadrem.
— Jakoż to będę mógł teraz czynić?
— Będiesz mógł czynić przez cały czas, jaki ci został przeznaczony, jeśli zaprzestaniesz gołębie wypuszczać swobodnie, gdzie im się latać spodoba.
Wstał z kamienia, skinął mu przyjaźnie głową i odszedł z wolna.
Za chwilę majaczył już tylko jak opar srebrzysty na bezkresnej, szafirowej dali.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-zatruta-studnia>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.